

ROBERT HICHENS.

## Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

A tajemnica dahabijeh, pięknej Lonlii — czy była zamknięta w łonie Wschodu?

W tem milczeniu duch Isaacsona szukał porozumienia z duchem Hany, lecz miał wrażenie, że jest łagodnie odpychany.

— Doktor Isaacson!

Mrs. Armine ukazała się na progu.

— Pan jest tutaj... z Haną? Może pan chce przyjść i dać memu mężowi środek nasenny.

— Z największą chęcią.

Kiedy się znaleźli w pokoju, rzekła:

— Złe się stało. Nie jesteśmy w porządku z doktorem Hartleyem. Ale nie chciałam się sprzeciwić Niglowi. Rekonwalescenci są tacy uparci.

— Rekonwalescenci!

— Tak, rekonwalescenci.

— Pani myśli, że jej mąż jest rekonwalescentem?

— Rozumie się. Pan go nie widział w pierwszych dniach po porażeniu.

— To prawda.

— Proszę mu dać swe lekarstwo, a potem musimy wreszcie udać się na spoczynek.

Kiedy mówiła te słowa, zauważył w jej głosie, że jej panowanie nad sobą już było na wy-czerpaniu.

— To nie potrwa dłużej nad chwilę — rzekł. — Gdzie jest chory?

Wprowadziła go do kajuty, w której na łóżku, oparty o poduszki, leżał Nigel. Jedną pałeczką się świeca słabo oświecała pokój. Mrs. Armine stanęła w głowach łóżka i patrzyła na zwróconą do siebie wychudłą, ołowiano-szarą twarz.

— A teraz doktor Isaacson tak uczyni, że będziesz spał.

— Dzięki Bogu. Reumatyczne bóle strasznie silne dzisiaj.

— Reumatyczne? — rzekł Isaacson.

Nalał trochę wody do szklanki i wpuścił do niej lekarstwo. Trzymał szklankę tak, że aby ją wziąć, chory musiał wyciągnąć rękę. Nigel uczynił ten ruch, lecz ręka opadła i rzekł z niezadowolaniem.

— Podaj ją bliżej.

Isaacson zbliżył ją do jego ust.

— Reumatyczne? — powtórzył, kiedy Nigel wypił lekarstwo.

— Tak. — Westchnął i osunął się niżej. — Nie mogę tego pojąć. Reumatyzm w tym cudownym klimacie! — szepnął.

Mrs. Armine uczyniła ostantacyjny ruch, jakby chcąc odejść i zostawić ich sam na sam.

— Nie, nie odchodź, Ruby — rzekł Nigel, szukając jej ręki. — Chciałbym... żebyście oboje... byli przyjaciółmi. Prawdziwymi przyjaciółmi. Isaacson, ty nie wiesz, jaką ona była przez ten czas... przez ten okropny czas. Nie wiesz tego...

Staby jego głos zamarł.

— Przyjdę jutro — rzekł po chwili Isaacson.

— Tak, przyjdź. Musisz mnie wyleczyć.

Mrs. Armine nie mogła odprowadzić Isaacsona do feluki, ani zamienić z nim słowa na osobności, gdyż Nigel nie puszczał jej ręki.

— Muszę przy nim pozostać, aż uśnie — rzekła prawie szeptem Isaacsonowi, kiedy wychodził.

Stała lekko pochylona nad łóżkiem. Można było pomyśleć, że to anioł stróż, czuwający nad chorym człowiekiem, lecz Isaacson czuł dziwną niechęć do opuszczenia łodzi tej nocy.

Spojrzał na Mrs. Armine, która wytrzymała to spojrzenie i wyszedł, pozostawiając ją w tej pięknej, opiekuńczej postawie.

Feluka stała gotowa. Wsiadł do niej i dwóch żeglarzy skierowało ją na rzekę. Wiosłując, zaczęli śpiewać. Żółte światła Lonlii zasuwwały się jedno za drugie. Tylko wysoko na maszcie jaśniało błękitne światło, jakby czujne oko. Ciemna woda porwała felukę, prąd pomagał wiosłarzom i czółno płynęło szybko. Światła Lonlii zaczęły niknąć, kiedy Isaacson rzekł do swych ludzi:

— Cicho!

Podniósł rękę. Zdziwieni Nubijczycy odłożyli wiosła. Śpiew zamarł na ich ustach.

Poprzez wodną przestrzeń dał się słyszeć

słaby, lecz przenikliwy odgłos śmiechu. Ktoś się śmiał, śmiał i śmiał w nocy.

Nubijczycy spoglądali jeden na drugiego.

Nastąpiły krzyki, a po nich... czy to nie było łkanie szlochającej gdzieś kobiety?

Isaacson s uchał, aż wszystko umilkło. Wiedzy z poważną, uroczystą miną skinął na Nubijczyków.

Pochylił się nad wiosłami i feluka popłynęła w dół Nilu.

## XIX.

Wysyłając swój list na Fatmę, Mrs. Armine jednocześnie zatelegrafowała do doktora Hartley'a, prosząc go, żeby jak najprędzej przybył na Lonlię. Powiedziała Isaacsonowi, że przyjedzie o czwartej, lecz przyjechał na kilka godzin przed oznaczoną przez nią porą na konsylium. A Isaacson wciąż oczekiwał na Fatmę.

Nie spał całą noc. Sen Nilu, w który poprzednio słodko zapadał, opuścił go bezpowrotnie. Instynkt szeptał mu, żeby o świcie udać się na Lonlię. Lecz po raz pierwszy głosu tego nie usłuchał. Zimny rozsadek mówił: „Festina lente” i poszedł za nim. Po bezsennej nocy, wśród której gorączkowe myśli go nawiedzały, miał przed sobą kilka spokojnych, samotnych godzin. Po spojrzeniu, które rzucił na Mrs. Armine, wychodząc z kajuty Nigla, nie było powodu — myślał — śpieszyć zaraz z rana do chorego. Niech nasenne lekarstwo uczyni swoje, a on niech skorzysta z tych kilku godzin dla uspokojenia rozgorączkowanego umysłu.

Siedział więc na pokładzie, podczas gdy słońce wznosiło się na pogodnym niebie i patrzył na pracujących na brzegu fellahów.

Nagie ciała pochylały się i prostowały, a z płuc wychodziły namiętne pieśni, które rozlegały się na brunatnych wybrzeżach Nilu może jeszcze widać, kiedy Slinks po raz pierwszy zwrócił swe nieziemskie oczy ku wieczności.

Lecz pomimo, że Isaacson dał sobie umyślnie ten wypoczynek ażeby się opanować i przygotować do walki, nie czekał na godzinę oznaczoną przez Mrs. Armine. Zaraz po pierwszej, w największy upał wsiadł do małego czółna, które było jedyną feluką przy Fatmie, zabierając z sobą Hassana.

Po co go zabierał, sam dobrze nie wiedział.

W nocy, płynąc z prądem, prędko przebył tę drogę, teraz musiał płynąć przeciw wodzie. Wiosłarze ciężko pracowali. Pomimo ich wysiłków czółno płynęło powoli. Isaacson doznawał wrażenia, jak gdyby jakaś siła starała się go powstrzymać. Lecz wreszcie zbliżyli się do Lonlii i jego bystre oczy wypatrywały, czy nie zobaczą jakiejś postaci na balkonie. Nie spostrzegł nikogo, balkon był pusty. I wydało się mu, jak gdyby w tym upale łódź spała; jak gdyby nie było na niej nigdzie życia: i to uczucie wzmagало się w miarę zbliżania. Na górnym pokładzie, wszystkie zasłony płócienne były spuszczone. Okienice zasłaniały okna kajut. Drzwi do salonu z fontanną były otwarte, lecz sam pokój pogrążony w cieniu, którego wzrok Isaacsona nie mógł przeniknąć. Kiedy dopływali żaden głos ich nie pozdrowił. Zaczął żałować, że przybył w porze slesy. Mijał zielone okienice za zielonemi okienicami, aż dosięgł przedniego pokładu, gdzie w witającej postawie stał uśmiechnięty Ibrahim. Isaacson doznał prawie uczucia lęku, widząc, że był oczekiwany.

Wysiadł, a za nim podążył Hassan. Na pokładzie leżeli w głębokim śnie pogrążeni żeglarze. Isaacson zapytał zniżonym głosem Ibrahima, czy mówi po angielsku.

— Tak, mój panie. Pan przybywa, żeby powitać dobrego doktora, który leczy my Lord Arminigela. Jest tutaj już od długiego czasu.

— Już jest tutaj?

Ibrahim uśmiechnął się potakująco.

— Od bardzo długiego czasu. On przybył tutaj, żeby żyć z nami, aż my lord będzie zdrów.

Po tych słowach Ibrahim odwrócił się, zebrał fałdy swej złocistej szaty i wszedł na schody, prowadzące na górny pokład. Isaacson poszedł za nim myśląc: — powinienem być przybyć wcześniej.

Wstępując na schody spojrzał w górę i zobaczył szczupłego młodego człowieka ubranego w białe z żaglowego płótna spodnie, jedwabną koszulę z niskim miękim kołnierzem, jasno różowy krawat, doskonale skrojony popielaty żakiet, różowe skarpetki i białe obuwie. Ten

młody człowiek leżał prawie w głębokim fotelu z kapeluszem panama nasuniętym na oczy, tak że brzeg kapelusza opierał się lekko o jego czysto zarysowany, trochę imperytencki krótki nos. Z ust jego wychodził dym papierosa.

Kiedy Isaacson stanął na dywanie pokrywającym pokład, młodzieniec zdjął kapelusz, spojrzał, spuścił nogi i wstając, rzekł:

— Doktor Isaacson?

— Tak — odrzekł Isaacson podchodząc do niego.

Młody człowiek leniwym ruchem wyciągnął rękę.

— Rad, że pana spotykam. Jestem doktor Baring Hartley, któremu powierzono tutaj sprawę udaru słonecznego. Przybyłem dzisiaj z Asnau, żeby zobaczyć mego pacjenta. Pozwoli pan papierosa?

— Dziękuję — rzekł Isaacson przyjmując.

— Piękna pogoda w Asnan. To pański pierwszy pobyt na Nilu?

Młody człowiek mówił ledwo znacznym amerykańskim akcentem. Po zdjęciu kapelusza ukazał opaloną, trochę piegawą twarz, gęste, ciemne kędzierzawe włosy; małe wąsy i duże, okrągłe żółto-brunatne oczy, w których malował się jego charakter. Były ładne i nie bez uczucia: lecz okazywały egoizm, połączony ze zmysłowością. Wyglądał bardzo młodo, chociaż miał około trzydziestu lat.

— Tak, pierwszy raz jestem w Egipcie.

— Może pan usiadzie?

Mówił ze swobodą gospodarza i zagłębił się znów w swoim fotelu trzymając kapelusz na kolanach i wyciągając nogi. Isaacson siadł na mniejszym krześle, pochylił się naprzód i przystąpił do iniekcji.

— Mr. Armine, albo Mrs. Armine — oboje może — musieli pana objaśnić jak zostałem do tej sprawy wmieszany? Jestem dawnym przyjacielem pańskiego pacjenta.

— Zgadłem to — rzekł Hartley dziwnie sucho.

— Znałem go na długo przed jego ożenieniem, długo przedtem, nim zachorował; będąc tutaj i słysząc o jego nagłej, poważnej chorobie, chciałem naturalnie go zobaczyć.

— Bardzo naturalne.

— Prawdopodobnie pan zna moje nazwisko, jako jednego z londyńskich lekarzy?

— Ma się rozumieć. Pańska sława jest wielka, doktorze Isaacson. Dziwię się nawet, że panie dozwoliły panu wyjechać.

Uśmiechnął się i pociągnął z afektacją zawąsik

— Dlaczego panie szczególnie?

— Zrozumiałem, że pańska praktyka składa się głównie z londyńskich eleganek, cierpiących na neurastenię.

— Nie.

Głos Isaacsona stał się echem suchości głosu doktora Baring Hartley.

— Przykro mi.

— Czy mogę się spytać, dlaczego?

— Z tamtej strony oceanu znajdujemy, że one są — czy mam powiedzieć, najlepszym typem pacjentów?

— Ah!

Isaacson wspomniął na powiedzenie Mrs. Armine, które go zaprowadziło wprost do chorego przyjaciela. Domyślił się jej insynuacji w usłyszanych teraz słowach.

— Wracając do Mrs. Armine — rzekł — jestem pewny...

Lecz doktor Hartley przerwał mu ze spokojną stanowczością. Posiadał ten przymiot, że zdawał się mieć wielkie panowanie nad sobą.

— Znajduję, że szczerze zawsze rozjaśnia sprawę — rzekł, wyglądając jakąś zmarszczkę na spodniach. — Nie proszę o konsylium, doktorze Isaacson. Nie uważam, żeby było potrzebne, jak tylko znajdę, że byłoby pożądane, będę rad pana poprosić.

Isaacson patrzył na dywan.

— Pan znajduje, że stan Mrs. Armine jest zadawalniający? — zapytał, podnosząc oczy.

— To poważny wypadek porażenia słońcem. Wymagać będzie dużo czasu i starania. Postanowiłem zostać kilka dni na łodzi i oddać się zupełnie kuracji.

— Bardzo pięknie.

— Nie mam najmniejszej wątpliwości, że wkrótce postawię mego pacjenta na nogi.

— Pan nie widzi żadnych komplikacji?

— Komplikacji?

Ton jego był wyraźnie nieprzyjazny. Lecz Isaacson powtórzył chłodno:

(Dalszy ciąg nastąpi).